

Andrzej F. Paczkowski

Dwór pod Czerwonymi Makami



Andrzej F. Paczkowski

**Dwór pod
Czerwonymi
Makami**

© Copyright by Andrzej Paczkowski & e-bookowo

Projekt okładki: e-bookowo

Korekta: Patrycja Żurek

ISBN 978-83-7859-571-7

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2015

„Kochany Panie Boże...” – zaczynał się list, który trzymałem w rękach. Po przeczytaniu tych pierwszych słów, zatrzymałem się i zapatrzyłem w kartkę żółtego papieru zapisanego dziecięcym piśmem, blaknącym już atramentem. Przede mną siedziała starsza pani wpatrująca się w okno. Nie poruszyła się, nie drgnął żaden mięsień na jej twarzy. W pokoju głośno tykał stary zegar z kukułką. Nie lubiłem tych zegarów, za bardzo przypominały mi o upływie czasu. Starzy ludzie jednak przyzwyczajeni byli do tego tykania. Jak kobieta siedząca tuż obok.

Tyk-tyk, tyk-tyk, słuchaj, jak szybko mija twój czas...

Na stole stały dwie porcelanowe filiżanki, chyba przedwojenne. Przed chwilą moja gospodyni naląła do nich gorącej kawy, para jeszcze unosiła się wokół wężowatymi smugami. Spróbowałem napić się, jednak zawartość filiżanki była bardzo gorąca, nie wiem, jakim cudem ten piękny dzbanek zdołał utrzymywać ciepło tak długo: przecież kawa została nalana już po raz drugi!

Przez okno, zasłonięte nakrochmaloną firaną, wpadało mało światła, nie dlatego, że nie świeciło słońce, ale dlatego, że było brudne. Po raz pierwszy od wielu lat widziałem takie firany: wisiały sztywno, zastygłe w bezruchu i gdyby nawet zawiął wiatr, nie udałooby mu się nimi poruszyć. Wyglądały, jakby stały przed oknem, niczym złośliwi i nieustępliwi strażnicy z jakichś ważnych powodów niedopuszczający do środka promieni słońca. Oprócz firan w oknie wisiały jeszcze grube zasłony. Pewnie i one przyprószone były od wieków osiadłym pyłem wpadającym do pokoju od strony ulicy. Znajdowały się na nich nieokreślone bliżej ornamenty, nie wiem, czy wyblakłe ze starości, czy po prostu tak zaprojektowane. Zresztą nawet nie wiedziałem, co to mogła być za tkanina, nie miałem do tego głowy. Może jedynie kobieta zdolna jest dostrzegać i rozróżniać materiały?

Stara kobieta siedziała sztywno, wyprostowana jak struna, która zaraz mogła pęknąć. Patrzyłem na jej zaciśnięte usta i dłonie silnie trzymające w żelaznym uścisku oparcia krzesła. W oczy rzuciła mi się wielka kamea przyczepiona do ubrania, niemalże pod brodą, jeśli chodzi o kamee to tutaj mogłem pochwalić się już małą znajomością. Kiedyś i matka miała podobną, odziedziczoną po swojej babci. Pewnego razu zapytałem, z czego została wyrzeźbiona jej broszka. Odpowiedziała, że z onyksu. Później dowiedziałem się, że mogły być robione jeszcze z sardonyksu i karneolu – dwubarwnych kamieni. Kamea tej kobiety jednak była prawdopodobnie wyrzeźbiona w kości słoniowej.

Następnie naprowadziłem wzrok na zniszczone pracą ręce mojej towarzyszki, na palce bez żadnych ozdób. Oprócz broszki nie nosiła żadnej biżuterii, a jednak, w jakiś nieuzasadniony sposób, wyglądała jak bogaczka. Bogaczka o starych spracowanych rękach!

Poznałem ją niedawno, właściwie wpadłem na nią przypadkiem, kiedy wracała ze sklepu. Siatka z zakupami urwała się, a zawartość rozsypała po chodniku. Przeskoczyłem jedną z pomarańczy, aby jej nie nadepnąć, a następnie zatrzymałem się, pochyliłem i odruchowo zacząłem zbierać owoce. Biedaczce trzęsły się ręce i widać było, że jest incydentem rozstrojona. Widziałem, jak stara się pozbierać owoce, i jak pochylanie się sprawia jej niemały problem. Mleko rozlało się i już nie dało się go uratować, a parę ziemniaków skończyło pod kołami samochodu skręcającego tuż obok. Na chwilę nasze spojrzenia skrzyżowały się. Zobaczyłem w nich bezradność i niepewność. A potem jakby zatrzymał się czas...

Czasami w życiu bywa tak, że Bóg złączy losy dwóch zupełnie nieznanymi ludzi, ponieważ jest ku temu jakiś bliżej nieokreślony i z początku nieznaną powód. Może człowiek niewierzący pomyśli sobie, że to nie żaden Bóg, ale zwykły ludzki Los, bądź też czysty Przypadek. Niech każdy uważa, jak mu się podoba i niech wierzy, w co chce. Mnie z tą kobietą połączył Bóg. Takie było moje przekonanie i pewnie wy również, po przeczytaniu tej historii, przyjmie-

cie moje zdanie. Od zawsze na nią czekałem, czułem to, że kiedyś ją spotkam, ale nie wiedziałem, jak będzie wyglądała. Nie miałem nawet pojęcia, kim będzie ta osoba, mężczyzną czy też kobietą. W głębi serca skrywała się pewność, że spotkam kogoś, kto odmieni moje życie na zawsze. Teraz się wypełniało...

Pospiesznie wyciągnąłem płócienną siatkę, którą miałem akurat ze sobą i zacząłem wkładać do niej owoce, marchewkę i cebulę. Kobieta patrzyła, nie wiedząc, co począć. Pospieszyłem z zapewnieniem:

– Proszę się nie obawiać, pomogę pani.

I obdarzyłem ją jednym z moich najpiękniejszych uśmiechów.

Podniosła się powoli i oparła o ścianę, widocznie zakręciło jej się w głowie czy pociemniało przed oczami, ponieważ na chwilę przymknęła powieki.

– Wszystko w porządku? – zapytałem niespokojnie.

– Tak – szepnęła. – Tylko muszę chwilę... muszę odpocząć.

Odczekałem więc chwilę, która przedłużyła się zdecydowanie do pięciu minut. Czasem pięć minut ucieka w mgnieniu oka, czasem potrafi dłużyć się niemiłosiernie. Dla mnie czas jakby się zatrzymał. Patrzyłem na jej twarz, na czarne ubranie, w jakim była spowita jej sylwetka i nie mogłem się napatrzeć. Wyglądała, jakby pochodziła z innej epoki. Jej świat był gdzieś indziej, przed wojną pewnie, może w czasach powojennych, ale nie tutaj. Cała jej postawa, styl ubioru i ruchy rąk mówiły, że to kobieta dystygowana i dobrze wychowana, aczkolwiek z wielką przeszłością, o czym świadczyła barwa i głębia jej oczu. Oczy bowiem miała głębokie jak studnie i łatwo się było w nich zatracić. Wyglądały młodo, jakby miała dopiero dwadzieścia lat, a nie siedemdziesiąt, czy ile właściwie mogła mieć. Nie potrafiłem jej odgadnąć. Od początku była dla mnie tajemnicą.

W chwili naszego spotkania miałem trzydzieści lat i byłem człowiekiem bez obowiązków. Nadal nie miałem zapuszczonych

korzeni. Nie miałem też miejsca na ziemi, często czułem się opuszczony, jak przez rodzinę, tak również przez Boga. Choć wierzyłem w Niego i starałem się iść przez życie tak, aby na końcu powiedzieć: żyłem dobrze, zgodnie z sobą i nikogo nie skrzywdziłem, czasami szedłem z prądem i pozwalałem się unieść nowoczesności, blichtrowi miasta i zgiełku. Uważałem, że pomimo wszystko człowiek musi iść z postępem, zmieniać się, choć nie zawsze wychodzi to na dobre, a nawet jeśli nie będzie chciał zmian, życie i tak go do nich zmusi. Więc i mnie czasami podłamywała się noga i na chwilę żyłem życiem ciemnym i... może raczej powiem: ludzkim. Przecież nie ma życia bez popełniania błędów. Czasami nawet chciałem je popełniać.

Często gubiłem się na swej drodze, a wtedy wpadałem w rozpacz i w pustkę. Człowiek woła wtedy o pomoc do Boga, prosi, jęczy i kaja się, a niebo milczy i tylko patrzy beczynn timer. Więc jak na człowieka przystało, bo i takie chwile bywają, wątpiłem też w Jego istnienie.

Ale dopiero historia usłyszana od spotkanej na drodze kobiety pokazała mi, że nawet w chwilach najcięższych, w czasie buntu i płaczu, On nie chowa się za krzakami, tylko stoi przed nami. Jedynym problemem jest, że my Go nie widzimy, ponieważ nie chcemy widzieć. Człowiek lubi się użalać, płakać nad sobą, nad swoją dolą... Tymczasem On w momencie największej niepewności i bólu stoi tuż obok i trzyma nas za ręce. Wystarczy tylko dobrze się przyjrzeć. Choć, nie powiem, nie każdy potrafi naprawdę szeroko otworzyć oczy. Czasem, bo i tacy się znajdują, przez całe życie mają je zamknięte: może nie potrafią patrzeć, może nie chcą lub matka ich tego nie nauczyła. Lub też patrzą w złym kierunku...

Czekałem. Przez trzydzieści lat, ponieważ tyle czasu minęło od mojego urodzenia do momentu, gdy nasze drogi się skrzyżowały.

Kobieta zaprosiła mnie do domu na filiżankę kawy.

– Nie boi się pani wpuszczać obcego do domu?

– Pana nie. Dobrze panu patrzy z oczu.

Więc z siatką tego, co udało mi się pozbiierać z chodnika, już miałem wejść do środka, kiedy zatrzymałem się i powiedziałem, aby zaczekała chwilę. Pobiegłem w dół i pospiesznie wszedłem do najbliższego sklepu. Tam zakupiłem mleko i znowu stanąłem przed jej drzwiami.

– Kupił pan mleko. – Jej twarz rozjaśniła się i nagle jakby w po-koju rozbłysło światło. Kim jesteś? Pytałem się w duchu. Czułem każdą cząstką ciała, że ta osoba nie jest zwykłym człowiekiem. Za powłoką jej ubrania i ciała skrywała się dusza, przyciągająca mnie jak magnes. Emanowała z niej siła i skryta energia. Nie potrafiłem oderwać oczu.

Poproszony usiadłem do stołu, tam, gdzie siedziałem dzisiaj, czytając jej ostatni list, który napisała do Boga w wieku sześciu lat. To był dzień Wielkiej Straty. Tego dnia odeszła jej matka i jej śmierć na zawsze wyryła w dziecięcej duszy piętno.

– Nie jest dobrze, kiedy matka umiera i opuszcza dziecko – powiedziała mi kiedyś, zanim jeszcze pokazała mi list.

– Nie jest też dobrze w tak młodym wieku spotykać się twarzą w twarz ze śmiercią. Bo ja ją wtedy widziałam. Przyszła, stanęła matce nad głową i patrzyła na mnie pustymi oczodołami. Zabrała jej duszę, wessała w siebie bez żadnego skrępowania. Potem odwróciła się i odeszła przez otwarte okno. Zabrała mi matkę.

Nie wiedziałem, o czym mówiła, moja matka nadal jeszcze żyła i, przyznać muszę, nie łączyły nas silne więzi. Może dlatego, że przez wiele lat nie zajmowała się mną, robił to wyłącznie ojciec.

– Żadna matka nie powinna umierać i pozostawiać na pastwę losu wydany na świat owoc. Taki plon nigdy nie może wyrosnąć zdrowo. Zawsze będzie się gwał w jakąś stronę, będzie uszkodzony. Jak kulawy, który nigdy nie będzie chodził normalnie.

Tamtego pierwszego dnia wypiliśmy kawę, podczas której wymieniliśmy ledwie parę zdań. Przy wyjściu powiedziała:

– Proszę mnie jeszcze kiedyś odwiedzić.

Skinąłem jej głową na pożegnanie i zbiegłem schodami w dół.

Spotykaliśmy się raz w tygodniu. Z czasem moje odwiedziny zdarzały się częściej, aż wreszcie staliśmy się dobrymi przyjaciółmi. Minął rok od tamtego momentu, kiedy do ręki dostałem list datowany na dzień szesnastego listopada 1926 roku. Miała wtedy sześć lat i przeżywała pierwszą życiową tragedię, która na zawsze zmieniła jej życie. Po raz pierwszy spotkała się ze Śmiercią. Z okrutną i niezłomną, ponieważ zebrane przez nią żniwo było wielkie: odebrano jej najcenniejszą rzecz, jaką posiada dziecko – rodzicielką.

Opowiedziała mi całą historię, a ja nie mogłem z początku uwierzyć. Bo jak tu wierzyć w to wszystko, co usłyszałem? I choć z początku powątpiewałem, wiedziałem, że kobieta mówi prawdę. Nie była typem człowieka lubiącego zmyślać. Jej umysł był równie czysty i przejrzysty jak woda nalana do szklanki. Ona zawsze mówiła prawdę i nigdy nie ukrywała niczego. Tak została wychowana.

W wieku dwudziestu dziewięciu lat wydałem pierwszą książkę i od wielu miesięcy nosiłem w sobie dziwną pustkę. Nie wiedziałem, o czym pisać. Do momentu spotkania się z nią. To ona przebudziła we mnie uspięone potrzeby, o których myślałem, że zasnęły już na zawsze. Potrzeby przelewania na papier odczuć i myśli. I tutaj następuje jej historia, a ja, tak samo jak wy, od tej chwili będę wyłącznie obserwatorem.

To historia Wielkiej Straty i Wielkiej Miłości. To historia Zła i Zdrady i tylko od was zależy, co z nią zrobicie i jak ją przyjmiecie.

Pierwszy list do Boga

„Kochany Panie Boże. Proszę Cię na kolanach, nie zabieraj mi mojej mamy. Mój tata siedzi w zamkniętym pokoju już od wielu dni, schował się tam po ostatniej wizycie lekarza. W nocy słyszę jego płacz, który budzi mnie i nie pozwala mi spać. W drugim pokoju jęczy matka i prosi Ciebie, Boże, o zmiłowanie. Dom jest cichy i pogrążony w mroku. Tak bardzo się boję. I ja, Panie Boże, płacę często w poduszkę, aby nikt nie słyszał. Proszę Cię, nie zabieraj mi mamy.”

Wanda z Różewskich

Urodziła się w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku. Pisał się dzień trzeciego stycznia. Dokładnie tego samego dnia rozpoczęła się akcja zaczepna grupy wojsk generała Edwarda Rydza-Śmigłego przeciwko bolszewikom na Dyneburg.

Była to sroga zima, temperatura spadła tak nisko, że ludzie bali się wychodzić z domów. Matka dopiero co narodzonej Wandy powiła ją wieczorem, kiedy już nie można było odróżnić nocy od dnia, w łóżku, w którym również ona przyszła na świat.

Mała Wanda od samego urodzenia była cichym i spokojnym dzieckiem i tak już miało pozostać przez całe życie. Rodzina, zamknięta w pięknym dworze, stojącym już w tym miejscu od roku 1720, kiedy to pierwszy Różewski, podcaszy krakowski, wybudował go jeszcze za czasów Stanisława I Leszczyńskiego, świętowała narodziny przez cały następny dzień i długą noc.

Jednak aby dopowiedzieć historię Wandy, musimy przenieść się do samego Początku.